

NOWE
Okoliczności

ZIN etnograficzny

Jesień 2025



zin etnograficzny

jesień 2025,

nr 9

Temat numeru: Duchologia

Redakcja:

Koło Naukowe Studentów i Studentek Etnologii i Antropologii Kulturowej

Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

w składzie:

prof. Dariusz Brzostek

Adam Berliński

Olga Fisz

Jan Jerzy Niemczyk

Dionizy Pietrzyk

Kalina Szafkowska

Danuta Wolak

Filip Różański

Yehor Shukrat

Paweł Sołtys

Aleksandra Gliwińska

Robert Kaczor

Radosław Anasz

Redaktor zina:

Dionizy Pietrzyk

Redaktorka działu sztuka:

Olga Fisz

Projekt graficzny okładki:

Maria Wróblewska

Opieka naukowa:

dr Maja Dobiasz-Krysiak

Skład i łamanie: @Kita. Tak pięknie się składa



Spis treści

Od redakcji - Dionizy Pietrzyk

Temat numeru: Duchologia

1. O pamięci, która nie wędnie - Danuta Wolak
2. W poszukiwaniu cienia na jamajskim cmentarzu - prof. Dariusz Brzostek
3. Duchy przeszłości. Liminalność urbexu - Aleksandra Gliwińska
4. Duchy Collegium Maius - Robert Kaczor
5. Kościół kontra zeitgeist - Dionizy Pietrzyk
6. Żałoba oczami franciszkanina - Radosław Anasz

Kącik ludowiedztwa

7. Andrzejki i Katarzynki - Adam Berliński
8. Kim sóm utopce - Jan Jerzy Niemczyk

Sztuka

9. Kalina Szafkowska - Fotografia spirytystyczna
10. Filip Różański - Tygrysie demony władcy duchów
11. Paweł Sołtys - XIII Śmierć
12. Yehor Shkurat - fotografie

Polecajki

13. Olga Fisz - „Kawa”

~~Od redakcji~~

Jesień. Pogoda przygnębia, mury uniwersytetu wydają się jeszcze bardziej szare, a wszyscy są ospali i oczekują przerwy świątecznej. Jednak my działamy i tworzymy. Prezentujemy dziewiąty numer Nowych Okoliczności, których tematem przewodnim jest duchologia. To hasło to kopalnia interpretacji czego dowiedli nasi autorzy i autorki.

W zinnie znajdziecie teksty lokalne i egzotyczne. Danuta Wołak zabiera nas na cmentarz żydowski w Bratysławie, a prof. Dariusz Brzostek w tropiki, na jamajskie cmentarzysko. Aleksandra Gliwińska zastanawia się nad liminalnością urbexu, a Robert Kaczor opowiada o duchach w Collegium Maius. Ja sam piszę jak zmienia się zeitgeist w kontekście działań kościoła, a Radosław Anasz przybliża zagadnienie żałoby z perspektywy zaprzyjaźnionego z nim franciszkanina.

W kąciku ludowiedztwa możecie znaleźć stare obyczaje dotyczące wróżb andrzejkowych i katarzynkowych, które przedstawia Adam Berliński. Natomiast Jan Niemczyk po raz kolejny pisze gwarą – tym razem o śląskich utopcach

W sekcji artystycznej Kalina Szafkowska cofa się w czasie do wiktoriańskiej fotografii spirytystycznej. Filip Różański opisuje chińskie tygrysy demony i pokazuje ich własną interpretację graficzną. Paweł Sołtys stworzył współczesny obraz inspirowany Tarotem – kartą śmierci, a Єроп IIIкypar/Yehor Shkurat prezentuje czarno-białe, klimatyczne fotografie z Polski i Ukrainy. Na koniec Olga Fisz zachęca nas do przeczytania książki poświęconej jednemu z najpopularniejszych napojów na świecie - kawie. A ja witam się z Wami w roli nowego redaktora naczelnego Nowych Okoliczności.

Dionizy Pietrzyk

Długi listopadowy weekend spędziłam razem z mamą i ciocią w Bratysławie. Jednym z miejsc, które odwiedziłam, był stary cmentarz żydowski. Miejsce to było nieco oddalone od głównego szlaku turystycznego. Wejście kryło się gdzieś z boku, niepozorne, jakby celowo chciało pozostać niezauważone dla przypadkowych przechodniów. Cmentarz leży na wzgórzu, do którego prowadzi strome wejście, ale kiedy się już tam znajdziemy, czeka nas niespodzianka - piękny widok na Dunaj. Położenie w oddaleniu od głównej arterii sprawia, że na cmentarzu panuje cisza, odgłosy ulicy docierają tu tylko jako odległe echo. Można tu usiąść i patrząc na wodę, po prostu trwać w zadumie, wsłuchać się w siebie i w historię osiadłą na tym wzgórzu. Przy schodach wejściowych ułożone są stare płyty nagrobne, które zostały odnalezione na dziś zniszczonej, najstarszej części cmentarza. Stanowią one świadectwa dawnych stuleci. Tego dnia na cmentarzu byliśmy tylko we trzy. Żadnych innych odwiedzających, żadnego pośpiechu, żadnego przechodzenia „na skróty” między grobami, jak to się zdarza na polskich cmentarzach, zwłaszcza podczas listopadowego Święta Zmarłych. Każdy grób zasługiwał na uwagę: niektóre były stosunkowo nowe, inne zaś tak zniszczone przez czas, że wyryte na tablicach litery zdawały się wtopione w szarym kamieniu, ledwo czytelne.

Najbardziej zaciękały mnie symbole na macewach. Trzy pojawiały się najczęściej. Były to: dłonie złożone w geście kapłańskiego błogosławieństwa – znak Kohenów, potomków arcykapłana Aarona, przechylony dzban z lejącą się wodą, który oznacza osobę z pokolenia Lewitów, oraz gwiazdy Dawida. Wiele macew nie miało symboli, tylko napisy, modlitwy wyrzeźbione w kamiennej pamięci. Żadnych kwiatów, żadnych zniczy, żadnych wstążek czy plastikowych dekoracji. Majestatyczna i przejmująca nagość kamienia. Na niektórych macewach leżały kamienie, małe, duże, gładkie, szorstkie. Kamień to dowód: byłam tu, pamiętam. Prosty gest, trwalszy symbol pamięci niż kwiat. Kwiatów na cmentarzach żydowskich zresztą nie ma z konkretnego powodu: tradycja nakazuje, aby grób nie był upiększany, ponieważ śmierć nie jest piękna, a po śmierci wszyscy jesteśmy równi. Groby bogatych i biednych powinny wyglądać podobnie, miejsce pochówku nie służy wywyższaniu się, nie jest areną do pokazywania statusu czy zamożności.

Odwiedzenie tak rozległego żydowskiego cmentarza, jak ten w Bratysławie było dla mnie ambiwalentnym doświadczeniem. Po pierwsze było to wejście w intymny krąg historii ludzkich istnień. To niesamowite uczucie zwłaszcza teraz, tuż po święcie Wszystkich Świętych, gdy w Polsce pamięć o zmarłych przybiera tak kolorowe, niemal festiwalowe formy. Bratysławski cmentarz żydowski był jak oddech, odpoczynek od przepychu i kiczu, od niepisanego współzawodnictwa o największą wiązanekę czy najbardziej kolorowy znicz. Poruszający kontrast, tym bardziej, że tuż za murem cmentarza żydowskiego rozciąga się katolicki, tego dnia pełen ludzi, rozmów, kolorów. Z jednej strony płotu my trzy i cisza, z drugiej – gwar i krzątania.

Gdy stałam na porośniętym trawą wzgórzu, patrząc na Dunaj i rzędy surowych macew, nasunęła mi się refleksja na temat istoty pamięci. Nie potrzebuje ona ani głośnych gestów, ani wiecznej świeżości sztucznych kwiatów, ani prze-

pychu. Czasem wystarczy po prostu pamiętać, zatrzymać się, pomyśleć, wrócić myślą do kogoś, kto już odszedł. Gest prosty, ale znaczący. Intymny w swojej ciszy. Pamięć nie więdnie. Nie gaśnie. Trwa, dopóki my trwamy. I mówi to samo, co wszystkie znicze i wiazanki, tylko ciszej: pamiętam. Byłeś ważny. Wciąż jesteś.



prof. Dariusz Brzostek

W poszukiwaniu cienia na jamajskim cmentarzu

Słysz się całkiem często o nawiedzonych domach, parkach i ogrodach, rzadziej o kinach, teatrach, basenach i stacjach metra, od niedawna zaś o komputerach i smartfonach, ale to wciąż cmentarz pozostaje najbardziej oczywistą sceną nawiedzenia – rzecz by można – miejscem na nie skazanym. Co więcej, w kulturowym imaginariusium cmentarz bywa nawiedzany w dwójnasób, w Dzień Zaduszny, przez żywych, którzy pragną pamiętać, nocami natomiast przez zmarłych, którzy nie chcą odejść. To ambiwalentne doświadczenie pamięci i zapominania towarzyszy niezmiennie cmentarnym wizytom, niezależnie od tego, czy będą to znikające w krajobrazie niewolnicze cmentarze w krajach postkolonialnych zaledwie zaznaczone skromnym krzyżem lub upuszczonym jakby od niechcenia bukietem polnych kwiatów, czy też monumentalne nekropole Nowego Orleanu, rozbrzmiewające echem pogrzebowych procesji zwanych *secon*Cmentarze na Jamajce oferują jednak w tej sferze doświadczenie unikalne – skryte w cieniu drzew pod palącym słońcem tropików, zanurzone na raz w trudnej historii regionu (kolonialna i niewolnicza przeszłość) oraz nieoczekiwanej nowoczesności, wyłaniającej się znienacka między omszałymi nagrobkami i zrujnowanymi kaplicami. I nie



Opuszczony cmentarz w Saint Elizabeth Parish.

chodzi tu bynajmniej ani o piętrzące się obficie na płytach nagrobnych butelki po białym rumie – pozostałość po libacjach upamiętniających zmarłych, ani o błakające się między konarami drzew psy, lecz o hipernowoczesny, wyrastający wprost z lokalnej popkultury, design grobów i ich otoczenia. Tym bowiem, co przykuwa uwagę przechodnia mijającego przydrożne lub skryte w zagajnikach nekropolie jamajskich wsi i miasteczek są niespodziewane, zawieszane gdzieś między barokiem a postmodernizmem, aranżacje miejsc ostatniego spoczynku mieszkańców i mieszkańek wyspy. Na pozór zwyczajne, proste nagrobki pyszną się gipsowymi rzeźbami, ornamentami i pastelowymi obrazami przedstawiającymi nie tylko szacownych zmarłych, ale także ilustrującymi ich największe pasje, (nie)zrealizowane marzenia oraz skłonności i nawyki. Nietrudno wśród nich dostrzec sportowe motocykle (nierzadko oddane w rzeczywistych rozmiarach), jachty i łodzie motorowe (w miniaturze), samochody, wille, boiska sportowe, a także zwierzęta i ogrody – wszystkie w jaskrawych barwach, radośnie mieniące się w palącym słońcu, obficie skropione rumem i zaopatrzone w resztki pokarmów spożywanych przez odwiedzających (ryż, kurze kości i pestki owoców stanowią nieodłączne ozdoby najelegantszych nawet miejsc pochówku).

Ponad innymi nagrobkami dumnie wznoszą się z kolei kartonowe sylwetki ukochanych zmarłych, zwróconych obliczami w stronę bramy cmentarza i drogi przebiegającej nieopodal. Uśmiechnięci, rozpromienieni, w pełni sił, smagani wiatrem i deszczem, trwają na posterunku na pograniczu światów, blaknąc od słońca, roniąc niekiedy łzy podczas równikowej ulewy. Czy pośród nich, wieczorami, gdy odejść ostatni odwiedzający, przechadza się melancholijny duppy (nazywany też niegdyś bugaboo, lub po prostu „cieniem”) – jamajska zjawą, raczej łagodna i dobrotliwa, choć przecież wciąż wystarczająco niesamowita, by przerazić przypadkowego przechodnia? W ludowych opowieściach o afrykańskiej jeszcze proveniencji Jamajczycy określali go czasem familiarnie brother duppy („braciszek duch”), oddając w ten sposób nieuniknione powinowactwo tego, co trwa wciąż na tym świecie i tego, co odeszło już w zaświaty. Dziś,

po katastrofalnym huraganie Melissa, który uderzył w wyspę 28 października bieżącego roku (jeszcze jeden Orkan na Jamajce z pamiętnej powieści Richarda Hughesa), trudno myśleć mi o jamajskich cmentarzach inaczej niż jako miejscach nawiedzanych przez porywisty wiatr, smagający zdobione fantazyjnie nagrobki. Mam nadzieję, że w tym żywiole przetrwały i one...



Cmentarz w Alligator Pond.



Cmentarz w St. Thomas Parish

Wrażenie bycia zawieszonym, chwilowego znajdowania się pomiędzy, jest czymś, co przytrafia się w życiu często. Można podać różne przykłady radzenia sobie z zawieszeniem — od rytuałów przejścia, aż po różnie interpretowane podróże. Zagadnienie liminalności jest interesujące z wielu powodów. Początkowo termin ten używany był w kręgach akademickich. Internetowy Słownik Języka Polskiego definiuje liminalność właśnie jako: „znajdowanie się w stanie zawieszenia”¹. Historia tego pojęcia sięga początków XX w., gdy badacz, Arnold van Gennep, używał go w kontekście obrzędów przejścia. Termin liminalność wziął się od łacińskiego słowa limen, które oznacza nic innego, jak próg. Bycie pomiędzy jest bowiem, jak stanie na progu. Próg w domu oddziela nasze orbis interior od niebezpiecznego orbis exterior. Jest on więc przestrzenią zagrożoną — znajduje się pod drzwiami, które otwierając się, mogą wpuścić do budynku złe moce. Próg stanowi pewnego rodzaju poczekalnię, która umożliwia przejście do innej przestrzeni. Przestrzeń liminalna, marginalna, pełni tę samą funkcję, co próg — umożliwia ona obserwację innego stanu z dystansu, a nawet przejście do niego.

W ludzkiej naturze leży chęć odkrywania nowego, nieznanego. Ostatnio popularną rozrywką stał się urbex. Słowo to jest skrótem od angielskiego urban exploration, czyli eksploracja miejska. Jest to badanie, odkrywanie na nowo miejsc w mieście, które większość osób omija. Podczas urbexu odwiedzać można zapomniane i zniszczone miejsca takie jak stare budowle czy tereny poprzemysłowe. Eksplorowanie opuszczonych, starych miejsc, pozwala dojść do głosu duchom przeszłości. Wiele budynków okrzykniętych jest mianem „nawiedzonych”, co działa na ludzi jak magnes. Takie miejsca ściągają do siebie różne typy śmiarków — od osób chętnych do badania duchów, aż po osoby chcące udowodnić, że duchy nie istnieją. Myśl obcowania z duchami, z tym drugim, niematerialnym światem wzbudza dreszcz podekscytowania.

Eksploracja sprzyja refleksji. Stojąc w opuszczonym, zniszczonym budynku można zadać sobie pytanie: czy jestem obserwatorem przeszłości tego miejsca czy uczestnikiem jego historii? Świadomość, że dziesiątki lat temu w danym miejscu toczyło się życie — ktoś mieszkał, ktoś pracował, umożliwia zbliżenie się ludzi żyjących lata wcześniej. Obecność na miejscu, bezpośredni kontakt, percepcja za pomocą wszystkich zmysłów sprawia, że chwilowo można przytulić się do przeszłości, pozostając w teraźniejszości. Urbex jest bowiem liminalnym momentem zawieszenia między historią a dniem dzisiejszym.

Zwiedzanie opuszczonego miejsca sprawia, że poziom koncentracji wzrasta, a wyobraźnia zaczyna bujnie pracować. Nagle wszystko, co w normalnych okolicznościach wystraszyłoby tylko lekko, staje się przerażające, staje się kwestią życia i śmierci. Na doświadczenia w czasie urbexu w dużej mierze wpływa pora dnia, w jakiej obiekt jest zwiedzany. Najstraszniejsza jest ciemność. Takie obiekty zwykle położone są z daleka od ludzi, a więc to naturalne, że chodzą przy nich zwierzęta. Mój rozmówca opowiadał mi jak straszne były odgłosy zwierząt, gdy zapadał zmrok. Oprócz tego w niektórych terenach poprzemysłowych słychać nieustający dźwięk, jakby buczenie. Dźwięk zmienia wysokość i głośność, a dłuższy pobyt w takim miejscu może przyczynić o zawroty głowy. Atmosfera miejsca, trudne do zidentyfikowania dźwięki sprawiają, że osobę eksplorującą ogarnia strach i poczucie obcości. Nietrudno wówczas o wyobrażenie sobie różnego rodzaju istot. A może właśnie nie wyobrażenie, ale dostrzeżenie? Może przez silne emocje doznawane w trakcie urbexu oraz bezpośrednie obcowanie z historią zapisaną w budynku, zwiedzający jest w stanie dostrzec więcej niż w zwykłych okolicznościach?

¹Słownik SJP, sjp.pl (data dostępu: 12.11.2025)

Do połowy wieku XIX miasto Toruń otaczały twarde, surowe mury. Nadejście nowego zwiastował warkot silników spalinowych na ulicach i w fabrykach. Zgiełk obwieszczał rewolucję, a mury runęły! Miejsce, zimnych cegieł coraz chętniej zajmowało kruche szkło. Czas zdobędzie każdą twierdzę, a natura nie znosi próżni. W miejsce dawnych fortyfikacji: murów, fosy, baszt; jak grzyby po deszczu wyrastały kolejne budynki. Wśród pereł toruńskiej architektury pozostał przerażający panoptykon, który do dziś przypomina, że najgroźniejsi dla ludzi zawsze byli i będą ludzie. Fosa Staromiejska to już nie fosa, a jednak wpadły do niej najrozmaitsze wytwory architektoniczne: śnieżnobiały, secesyjny Teatr Wilama Horzycy, Planetarium, czy najbliższe mi, neogotyckie Collegium Maius. W niesofie wymuszały się ze sobą grupy społeczne. Wpadali do niej urzędnicy, duchowni, wojskowi, mundurowi dawni i współcześni, astronomowie, filozofowie, prawnicy i przestępcy... Wpadłem do niej i ja.

Później mówiono, że człowiek ten nadszedł od południa, od bramy głównej, gdzie magnolie już dawno opadły. Przeszedł po twardym bruku, lecz umysł jego stać się miał elastyczny. W Collegium Maius spędziłem trzy lata, a będąc dokładnym dwa, gdyż przez pierwszy rok na uczelni byłem wzrokiem i słuchem, lecz nie ciałem. Światło ekranu starało się oświetlić mój umysł. Kliknięcia myszki i klawiatury zastąpić miały skrzypienie kredy i szelest zeszytów. Taki był świat w obliczu pandemii. Dostępny w niedostępności, w zamknięciu. Przeżyliśmy prawie wszyscy... Dla jednych wirusa nie było, bo nie mogli go dotknąć, ani zobaczyć. Dla drugich był, bo nie mogą już dziś dotknąć ani zobaczyć swoich rodziców, dziadków, przyjaciół czy braci. Nie pamiętam już — czy po pandemii pierwsze fizyczne chwile na uczelni miały miejsce wiosną, jesienią czy zimą, pamiętam jednak, że były ciepłe.

Miejsce mnie oczarowało: światło przebijające się poprzez wspaniałe witraże; okna, które w jakiś magiczny sposób nie potrafią pokazać obrazu, który by nie zachwycał, czy to o zachodzie, zmierzchu, czy świcie. Piękne kamienne kolumny podziwiały mnie zdobywającego kolejne piętra tej zabytkowej siedziby, skrzypienie drewnianych podłóg obwieszczało, że jesteśmy już wysoko, a do tego w zgodzie z planem zajęć, potwierdzało też, że godzina już późna, bowiem jakimś trafem późniejsze zajęcia lubiły górne piętra.

Ludzie wypełniający to miejsce również byli wyjątkowi: wiele osób zaskakiwało mnie swoją otwartością i ciekawością świata. Nauczyciele akademicki byli niesamowici, nie rozszarpali mnie na strzępy, jak obiecała to szkoła. Pojawiały się trudności — nigdy nie byłem wzorowym uczniem, lecz zarówno koledzy jak i władze wydziału okazywały mi nieocenione wsparcie. Collegium Maius otworzyło mi umysł, pomogło dojrzeć moim poglądom oraz zrozumieć kim naprawdę jestem. Solidne drzwi wydziału ciężko było otworzyć, ale jeszcze ciężiej było je zamknąć.

Dwa lata później wróciłem na wydział humanistyczny. Ale już nie ten. Moim oczom ukazał się nowy wspaniały świat! O tym na pewno myślał projektant tej kanciarstwy. A może o sprzeczności? Bo przecież jaki związek z humanizmem ma twarda, matematyczna perfekcja? Gdzie w perfekcji miejsce na piękno? Czy pięknem jest idealny okrąg klatki schodowej? Nie wiem. Wiem, jednak, że nie poczułem ducha tego miejsca. Być może po prostu jest za młode na duchy? Może trzeba by wiele osobistości pokonało setki identycznych schodów Collegium Humanisticum. Być może, identyczne składa-

ne krzeselka, przytwierdzone do identycznych, ergonomicznych podłóg muszą zostać nadgryzione zębem czasu, albo przynajmniej guzikiem od spodni studenta jeszcze po wielokroć. Myślę o tym cały czas. Myślę, bo wierzę, że nie tylko ludzie, wspaniali tak samo jak w Maiusie, ale i miejsca, mają wpływ na nasze odczucia, na to jak myślimy. A humanista myśleć powinien przede wszystkim indywidualnie, kreatywnie i bez szablonu (aczkolwiek proszę i mnie nie słuchać i dać ponieść się fantazji).

Neogotycki budynek nasuwa pytania jak zdefiniować miłość, czy możemy ją opisać, porównując ją do miodu, który, choć słodki może nas w nadmiarze utopić; a może też rozwiązanie nasuwa nam sztuka Wabi-Sabi? Może to właśnie w niedoskonałości tkwi piękno, a w akceptowaniu ich tkwi sekret prawdziwej miłości? Kwadratowy ceglany budynek, o perfekcyjnie równych i symetrycznych oknach, wyróżniający się jedynie gigantycznymi tablicami fundatorskimi poraża mnie swoim rozmachem i... tyle. Budynek jest prosty na wskroś. Nie ma w nim ciekawości, nie ma myślenia o tym, co kryje się w kolejnej sali. Jak wyglądają pokoje na różnych piętrach. Po pierwszym tygodniu zajęć już wiem — wyglądają identycznie. Gdy nie mam siły nieść głowy zadartej, w Maiusie frapują mnie różnorodne mozaiki, co przedstawiają i dlaczego? W Humanisticum jedynie minimalistyczny kształt o równych ramionach próbuje coś wskazać: miejsca, w które mogą trafić lub to, że chcą być słońcem.

W miejscu, gdzie nie ma nic do odkrycia, brak ducha, ale i brak duchów. Nowoczesny wydział jest cichy i idealny. Stary jest głośny, wykładu słucha się często w jakości Lo-fi. A jednak w tym zgłębku odnajduję więcej ciszy, niż w idealnie wyciszzonej izolatce, gdzie najgłośniejsze są myśli i pracujący nieustannie serwer. Czy sale w Collegium Humanisticum mają swoich patronów? Czy wydziałowa biblioteka pomieściła wszystkie książki i tam też one spoczęły? W Collegium Maius książki spotkać można na każdym rogu, w bibliotece, w księgarni, na korytarzach i w salach. Sale mają patronów, którzy patrzą na nas nieśmiertelnym wzrokiem z ogromnych portretów, strzegąc, by nikt nie zniszczył ich ulubionego biurka. Duchy wpadają do sal i korytarzy z jesiennym wiatrem, którego nierówna walka ze starymi okiennicami trwa już ponad 100 lat.

W Maiusie żyją jednak nie tylko duchy profesorów. W trakcie I Wojny Światowej szkołę rzemieślniczą przekształcono na szpital wojskowy. II Wojna Światowa darowała Collegium Maius jeszcze więcej krwi, niż dać mógł jakikolwiek szpital. Czy w piwnicach, gdzie dziś znajduje się strefa relaksu, przetrzymywano więźniów? Członków ruchu oporu? Ile istnień zakończono w tym właśnie budynku. Myślę, ilekroć w kamiennych kolumnach i ceglanych ścianach widzę i czuję pod palcami braki. Czy były to kule? Czy ulice były dawniej równie gwarne co dziś? Nawet w mrocznych czasach?

Widzę więcej, w Maiusie widzę ludzi, teraz obcych, w miejscach, gdzie kiedyś byli ci bliscy. Siadam na miękkim fotelu, gdzie niegdyś toczyły się wesołe rozmowy. Ławki przed wydziałem przypominają mi majowe słońce, w którym skapani spędzaliśmy przerwy. Świerk — leżały pod nim leżaki, później i on leżał. Pamiętam dzień, gdy go wycięto, zapach żywego drzewa, choć przyjemny sprawia mi przykrość, gdyż wiem, że drzewo cierpi. Stary przyjaciel uczelni, świadek wielu pięknych chwil, cichy obserwator wielu lat. Dzielnie walczył z dymem papierosowym i spalinami z ulic, pokonało go wciśnięcie klawiszy klawiatury, przesunięcie pióra po kartce. Lecz wracam po latach i widzę, że jego miejsce zajął młody dziedzic.

Jesień to czas śmierci, ale też narodzin, rodzą się czyny i rodzą się idee. Chyba dlatego właśnie w październiku rozpoczyna się rok akademicki. Zimno, ciemność i wilgoć. Nie lubimy ich, a jednak to one napędzają te wielkie pomysły. Być może w trudnych

czasach jesteśmy skłonniejsi myśleć. Wyczuć daje się woń żywiczna nowych gałązek, igieł tak śmiało wyrastających, że aż niemal słyszeć zdaje się ich krzyk, ich wołanie, dumne obwieszenie! Bo to one! To one teraz są nowymi świadkami! Świadkami czasów innych. Bo czasy zawsze są inne, choć przecież policzony jest rok, policzony jest dzień. To każdy z nas, tak jak drzewo czuje, czuje za pomocą kolektywu zmysłów tak jak ja w Collegium Maius. Teraz już na pewno czuję, że nic dwa razy się nie zdarza. Na szczęście! Listopadowy wieczór — opuszczam krainę duchów. Deszcz, taki sam, lecz inny. Czuję go na mojej twarzy. Zimno, tuli mnie do siebie, ciszę umysłu zakłóca rytmiczny stukot jakiegoś ciężkiego sprzętu pracującego w centrum miasta, tarcie i stukot kół przejeżdżającego tramwaju. Powietrze jest zimne; lekkie, mimo że groźne to atrakcyjne. Godzę się na tę niepewną przyjemność, nie zapinam płaszcza.

Czyż nie wszyscy szukamy gdzieś duchów? Czy nie wracamy w zapomniane miejsca? Miejsca, w których czuliśmy. Dobrze jest czuć. I dobrze jest szukać, tego czego wiemy, że znaleźć się nie da.

Dionizy Pietrzyk

Kościół kontra zeitgeist

Dewocjonalia, pielgrzymki i zapach różanych koralików od różańca łączonych drobnym, złotym łańcuszkiem, plastikowa butelka o pastelowo różowym kolorze w kształcie Maryi, w której woda święcona jest tak stara, że pewnie pamięta moją Komunię Świętą, długopis z JP2, drewniana bransoletka ze świętymi, wyretuszowana Święta Rodzina w salonie mojej babci i Biblia jako komiks. Te obrazy widnieją w mojej głowie, gdy myślę o współczesnym Kościele Katolickim i jego próbie podążania za duchem epoki, czy dotarcia do młodzieży. Niestety jest to grupa społeczna, do której przebić jest się najtrudniej i mówię to z własnego doświadczenia, bo sam byłem tym krnąbrnym nastolatkiem, który wolał spać do dwunastej, niż pójść na mszę. Pamiętam jak trudno było mi wstać z łóżka, ubrać się i iść przez wieś, aby w końcu dotrzeć do kościoła, usiąść tuż przy samym wyjściu i bez końca czytać jedne i te same wyżłobione napisy na ławkach. Tę niedolę rodzice zgotowali nie tylko mnie, ale też moim rówieśnikom którzy też siedzieli z tyłu jak za karę. Ci, którym udało się schować, wyciągali telefony i grali przez bitą godzinę, tak jakby nabożeństwo w ogóle się nie odbywało. Ja zazwyczaj nie należałem do tych szczęśliwców, więc jedyne, co mi pozostawało to powtarzać modlitwy jak robot, klękać, wstawać, siadać i odpływać myślami. Mimo tego, że co tydzień, jak w zegarku, chodziłem, siedziałem, cierpiałem i wysłuchiwałem repertuaru pieśni religijnych oraz kazań naszego proboszcza, do głowy mi nie przyszło, dlaczego czasami po mszy rozdają naklejki, dlaczego muszę zanosić tę idiotyczną książeczkę z obecnością do zakrystii, aby dostać podpis od samego księdza i dlaczego w szkole za chodzenie na różaniec dostawaliśmy różyczki. Teraz, gdy o tym myślę odpowiedź wydaje się być prosta: zeitgeist.

Pojęcie to wywodzi się z niemieckiego i w języku polskim dosłownie oznacza ducha epoki. Termin ten odnosi się do przemian wartości, zachowań, kultury, ale i do nastrojów politycznych, które dominują w danym okresie. Zmiany społeczne wpływają też na instytucje. To już nie ta epoka, w której kościół kształtuje nas i rzeźbi jak glinę. To właśnie wtedy, gdy zacząłem wkraczać w okres "nastoletniego buntu" (ależ ja nienawidzę tego określenia) pojawił się najważniejszy wróg kościoła: internet. Za internetem pojawiły się media społecznościowe i ukochane przeze mnie gry wideo oraz online.

Przyjemności przyjemnościami, ale wraz z poszerzeniem się mojej wioski do globalnych rozmiarów, coraz więcej ludzi o odmiennych poglądach doszło do głosu. Więcej nastolatków na forach internetowych zauważyło, że nie tylko oni są zmuszani przez rodzinę do uczęszczania na mszę i do przyjmowania sakramentów jak choćby bierzmowania. Ja sam zacząłem walczyć o siebie i swoją autonomię, gdy zacząłem widzieć, że nie jestem odosobniony w swoich poglądach. Dodało mi to odwagi i poczułem, że nie jestem sam jak palec w tej bezsensownej walce.

Kościół próbował, próbuje i będzie próbować walczyć o młodzież. To przecież oni są ich przyszłością, to oni kiedyś będą mieć dzieci i te dzieci będą wychowywać w wierze - cykl będzie kontynuowany. Oczywiście nie są oni jedynymi osobami, do których kierowany jest rynek dewocjonaliów i artykułów religijnych. To jednak do nich skierowane są naklejki z wizerunkiem Jana Pawła II, książeczki z obecnością, która jest gwarantem sakramentu pierwszej komunii i bierzmowania, wycieczki organizowane przez szkołę na Światowe Dni Młodzieży, lekcje religii, na których zamiast nudnego wykładu próbuje się nowych form przekazywania wiedzy, jak serialu o życiu Jezusa lub robótek ręcznych o charakterze religijnym np. z okazji Bożego Narodzenia.

Warto w tym kontekście wspomnieć o kaplicy św. Barbary w Silesia City Center, czyli w centrum handlowym w Katowicach. Inwestor centrum nieodpłatnie przekazał w ręce kościoła rzymsko-katolickiego postindustrialny budynek, w którym mieściła się szybowa maszyna wyciągowa. Postawienie kaplicy w takim miejscu wzbudziło wiele kontrowersji, bo dlaczego w miejscu kojarzonym z rozrywką, przyziemnymi przyjemnościami i konsumpcją postanowiono wybudować świątynię? Jedną z odpowiedzi, która stała w kontrze do wyżej postawionych zarzutów jest odpowiedź księdza Arkadiusza Wuwera, który powiedział, że od wieków organizowano jarmarki przy kościołach i że te świąty zawsze się przenikały. Czy rzeczywiście tak można argumentować wybór tego miejsca? Kościół nie jest już centrum świata, jego miejsce zajęła galeria handlowa, a kaplica św. Barbary stoi na uboczu, przyćmiona większymi budynkami. Czy nie można odczytać tego ruchu jako próby pozyskania w swe szeregi ludzi młodych, którzy najczęściej bywają w takich miejscach? Przecież to młodzież, gdy idzie na wagary lub wychodzi ze znajomymi, łapie autobus w stronę najbliższej galerii, aby zjeść fast fooda lub połażać po sklepach. Obecność Domu Bożego, strefy sacrum, w takim miejscu jednoznacznie wskazuje, że kościół nie chce zostawać w tyle. Podejmuje ryzyko, podąża za trendami, poszerza swoją ofertę, masowo sprzedaje dewocjonaalia, zakłada strony, na których można czytać Pismo Święte online, albo za pomocą Biblii w stylu komiksu próbuje przebić się do tej hermetycznej grupy nastolatków. Czy im się udaje? Nie wiem, ale w przyszłym roku planuję apostazję.

Źródła:

Halina Witek, Konsument sacrum. Wokół kaplicy św. Barbary w Silesia City Center, [w:] Religijność w dobie popkultury, red. Tomasz Chachulski, Jerzy Snopek, Magdalena Ślusarska, Wydawnictwo UKSW, 2014, ss. 106–115.

Radosław Anasz

Żałoba oczami franciszkanina

Jak ludzie wierzący przeżywają żałobę? Spytałem o to mojego przyjaciela, franciszkanina brata Benedykta Stolarskiego. Jako duchowny i zakonnik od kilkunastu lat prowadzi obrzędy pogrzebowe, nabożeństwa żałobne i towarzyszy osobom przeżywającym stratę swoich bliskich. W tym czasie zaobserwował kilka charakterystycznych sposobów radzenia sobie ze stratą:

1. Żałoba to doświadczenie wspólnotowe - pogrzeb to często powód do spotkania bliskich i wspólnego uczestnictwa w pożegnaniu zmarłych. Oprócz udziału w obrzędach, często uczestnicy pogrzebu gromadzą się też na wspólnym posiłku, aby być razem, spędzić czas na rozmowach, wspomnieniach i otoczeniu opieką najbliższej rodziny osoby zmarłej.
2. Śmierć to doświadczenie przejścia - uczestnictwo w obrzędach religijnych budzi w zgromadzonych nadzieję, że życie człowieka nie kończy się wraz ze śmiercią biologiczną, że istnienie bezpieczny dom, azyl obiecany przez samego Jezusa Chrystusa, w którym można doznać duchowego z nim połączenia.
3. Żałoba a emocje - łzy, smutek i żałoba również mają pewien duchowy ładunek. Medytacja, uczestnictwo w obrzędach, lub osobiste praktyki religijne przynoszą pewien rodzaj ulgi, szczególnie w momentach samotności. Niektórzy praktykują też zapisywanie swoich wspomnień w formie pamiętnika.

Jak mawiał ksiądz Jan Twardowski: nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych...



Fot. Cmentarz ewangelicki w Zakurzewie, gmina Grudziądz.

Kącik Ludowiedztwa

Adam Berliński

W wigilię Św. Andrzeja i Św. Katarzyny o małżeństwie się dowiesz

Człowiek zawsze próbował dowiedzieć się co przyniesie przyszłość. Na polskiej wsi odpowiedź na to pytanie dawał święty Andrzej mając za pomocnicę świętą Katarzynę, patronkę cnotliwych kawalerów. Podczas późnych jesiennych wieczorów w wigilię Św. Andrzeja i Św. Katarzyny zaczynano wróżyć. Przeważnie przedmiotem wróżb było to, czy w najbliższej przyszłości panna wyjdzie za mąż, albo czy kawaler się ożeni. Nie wróżono jednak wspólnie jak to ma miejsce współcześnie - panny wróżyły w Andrzejkę a kawalerowie w Katarzynkę.



Katarzynki odbywały się w nocy z 25 na 26 listopada, w wigilię Św. Katarzyny a sam zwyczaj wróżenia podczas tej nocy pojawił się na polskich ziemiach prawdopodobnie w XVI wieku i zanikł w połowie XIX wieku. Poznajmy kilka wróżb, które dzięki duchom przodków miały przewidzieć, czy stanie się w najbliższym czasie na ślubnym kobiercu.

- Brano gałązki wiśni i wsadzono je w ziemię lub do wazonu. Jeżeli na Boże Narodzenie gałązka zakwitła, oznaczało to, że kawaler się ożeni.

- Wróżono również z kubków. Polegało to na losowaniu ukrytych pod kubkami przedmiotów takich jak obrączka symbolizująca ożenek, moneta - przypływ majątku, zboże - dobrą pracę. Pusty kubek oznaczał chwilowy zastój. Losowaniu towarzyszył wierszyk: „Kasiu daj znać, co się będzie ze mną dziać”.

- Kiedy młody kawaler szedł spać, wkładał pod poduszkę karteczki z żeńskimi imionami. Rano wyjmował jedną z nich - takie imię miała nosić jego przyszła żona.

- Podczas Katarzynek ważne były również sny. Wedle ludowych zwyczajów, gdy mężczyźnie przyśniła się kura, to oznaczało, że spotka pannę. Jeśli to była czarna kura, to oznaczało wdowę. A gdy, w śnie pojawiła się kura z kurczętami, zwiastowało to wdowę z dziećmi. Za dobry znak uważano sen o sowie, za zły omen sen o czarnym lub siwym koniu, ponieważ oznaczało to starokawalerstwo.

Andrzejki odbywają się z 29 na 30 listopada w wigilię Św. Andrzeja, a najstarsze polskie wspomnienie o tym święcie pochodzi z 1557 roku z relacji Marcina Bielskiego. Od samego początku to święto było związane z pannami, które wróżyły z kim się ożenią i kiedy to nastąpi. W dzisiejszych czasach święto to nadal związane jest z wrózeniem, ale dla kobiet i mężczyzn, jednak mało kto bierze owe wróżby na poważnie. Jak w wypadku Katarzynek, wróżono na wiele

sposobów.

- Najpopularniejszą wróżbą było lanie wosku lub ołowiu przez dziurkę od klucza do zimnej wody. Po stwardnieniu wosku/ołowiu interpretowano uzyskany kształt i stwierdzano co przyniesie przyszłość.

- Panny wróżyły też, która pierwsza wyjdzie za mąż. Układały się od końca izby ciąg z butów. Kiedy ułożono buty wszystkich panien, przekładano ostatni but na początek szeregu, a ten który jako pierwszy przekroczył próg, zwiastował swojej właścicielce bliskie zamążpójście.

- Wróżono również ze skórki jabłka. Panna obierała jabłko tak, aby skórka była jak najdłuższa, a następnie rzucała ją za plecy przez lewe ramię. Litera, w jakiej kształt ułoży się skórka, miała być pierwszą literą imienia jej narzeczonego.

- Panny wysypywały też len lub konopie i zgrabiały go wykorzystując męskie spodnie, co miało symbolicznie „przyprowadzić” do domu kandydata na męża.

- W Andrzejki, podobnie jak w Katarzynki również losowano przedmioty, lecz ukrywano je pod talerzykami. Listek symbolizował dalsze panieństwo, różaniec - życie w zakonie, czepek - ślub i wesele.

Przysłowia ludowe związane z Andrzejkami i Katarzynkami:

- Na świętego Andrzeja dziewczkom z wróży nadzieja

- Święty Andrzej wróży szczęście i szybkie zamęście

- Na świętej Katarzyny są pod poduszką dziewczyny

- Jak się Katarzyna głosi, tak się Nowy Rok nosi.

Bibliografia:

Czesław Witkowski, *Doroczne polskie obrzędy i zwyczaje ludowe*, Muzeum Etnograficzne w Krakowie, Kraków 1965.

Józef Szczyłka, *Kalendarz polski*, Wydawnictwo „Pax”, Warszawa, 1980.

Jan Jerzy Niemczyk

Kim sóm utopce

Roztomili,

we roztomajtych miyjscach na świecie roztomajte sóm podanio ło utopcach. Jo, jako dycki skupiyim sie tu jyny na Ślónsku Cieszyńskim. Skorzystalech z ksióńżki Józefa Ondrusza pt. Cudowny chleb, kany kapkym ło utopcach nóńś poradzi.

Nejprzód wyłożym kaj też te utopce miyszkajóm. Otóż nie bydzie niczym łodkrywczym jak powiyim, że w wodzie. Tak jak ludzie majóm swoji chatupy w dziedzinach abo miastach, tak utopce majóm swoji plosa w rzykach. W tych plosach urzónđżóne sóm całe miyszkarnio. Zlazuje sie do nich po kamiynnych schodach, a w pokojach nóńś można stoły, łokna a drzewiane półki, a na nich porcelanowe gornuszki, łodwócone dnem do wyrchu. Popod nimi uwiynżióne sóm dusze łutopionych przez utopca ludzi, w postaci biołych gołómbków. Łodbywajóm w nich pokutnym, a wahuje tego Gospodzin, pón wszystkich utopców.

Z wyglóndu utopce przypominajóm ludzi (chocióz dło srandy poradżóm zamiynioć sie w cieloka, kaczora abo ryby). Jak sóm stare to siwiejóm im nawet włosy, ale pierón wiy wiela roków poradżóm żyć. Na łozajist sóm łód ludzi barżyj długowieczne. Utopce, choć drobnej budowy, sóm łokropecnie silne, poradżóm wyrwać sie z rónk trzóch panocz-ków! Nosżóm czyrwióné czopeczki, zielóné łoblyczeni i bóty, kierych nie idzie zedrzyć.

Na łopianowych liściach jedżóm warżóne raki a smażone ryby. Czasami aji chlyb, miynso, szpyrkym, pieczoki. Pijóm herbatym ze zielin, a zdarzo sie im kurzić fajkym.

Utopce znajóm moc roztomajtych zaklłynć magicznych. Poza spómnionym usz

wyżyj zamiynianiyem w zwiryzynta, samo wejści do jejich “chałup” wymago czarodziyjski-go rozstómpienio sie rzyki. Swoim ludzkim kamratóm (ło tym bydzie eszcze nieskorzij) do-wajóm magiczne serwetki, kiere same rychtujóm śniodani. Poradzóm aji zamiynioć śmieci w grejcary, a grejcary w śmieci. Zdarzo sie im aji rzóndzić z miesińcziym, wadzónc sie ło to, jako tyn mo świycić!

Co zajmawe, utopce sóm chrześcijónami, ło czym świadczy to, że odbywajóm sie łu nich chrzty. Tych ludzielo “stary jak świat” utopiec, a na samóm łuroczystość przy-chodzióm społym wszystki utopce z rzyki. Roz w Stonawce zdarziło sie nawet, że małego “utopieczka” do chrztu dzierzóła ludzko dziełuszka - Maryśka.

Bo chociaż utopce sóm fest mściwe, i bez wachanio topióm tych, kierzi zależli im za skórym, czynsto kamracóm sie ludźmi. Pumogajóm im wtedy przy robocie, w nimocy, chytajom dło nich ryby, abo warzóm jedzeni. Za to chlyb, mlynso, mlyko czy tabakym dostowajóm prawie od ludzi, i z nimi kurzóm. Ty przyjaźnie trwajóm aż do czasu, kiej człowiyk sie pominie.

dycki - zawsze
jyny - tylko
kany - gdzie
nónś - znaleźć
poradzi - da radę
nejprzód - najpierw
wyłożyć - wytłumaczyć
kaj - gdzie
chałupa - dom
dziedzina - wieś
ploso - większe zagłębienie w wodzie
do wyrchu - do góry
wahować - pilnować
sranda - coś zabawnego
na łozajist - na pewno
łoblyczeni - ubranie
szpyrka - słonina
pieczoki - pieczone ziemniaki
kurzić - palić (fajkę, papierosa)

moc - dużo
kamrat - przyjaciel
nieskorzij - później
rychtować - przygotowywać
grejcary - krajcary (waluta w Austro-Wę-
grzech)
rzóndzić - mówić, rozmawiać
wadzić sie - kłócić się
zajimawe - ciekawe
społym - razem
dzierzóła - trzymała
fest - bardzo
kiery - który
nimoc - choroba
chytoć - łapać
warzić - gotować
prawie - właśnie
kiej - kiedy
pominyć sie - umrzeć

Sztuka

Kalina Szafkowska

Duchy na zdjęciach? Trochę o fotografii spirytystycznej

Każdy jest dziś w stanie wykonać fotografię. Nie zawsze jednak tak było. Narodziny fotografii datuje się na rok 1826 (Joseph Nicephore Niepce), natomiast pierwsze prototypy maszyn umożliwiających robienie zdjęć było zdecydowanie wcześniej (camera obscura powstała już w X bądź w XI wieku, skonstruowana przez Ibn al-Hajsam’a, a przysłona została opisana przez Daniela Barbaro w roku 1568). Początkowo nie było też filmu kolorowego – do roku 1870 wszystkie fotografie były w odcieniach szarości, czy sepii.

W latach 60 XIX wieku rozpoczęła się rewolucja fotograficzna, która pozwoliła na “spotkanie z duchami przodków”. Operatorzy aparatu wcielali się

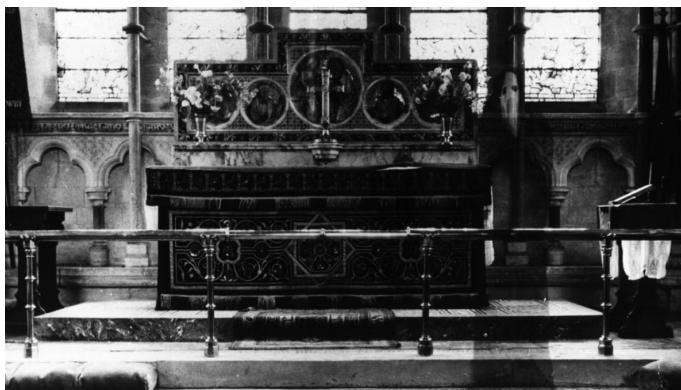
w rolę medium i wykonywali fotografie klientom ze zmarłymi członkami rodziny. Ruch rozpoczął amerykański portrecista – William H. Mumler. Wykonał on przypadkowo portret, na którym widoczne były dwie postaci. Szybko domyślił się, że nie jest to żadne zjawisko paranormalne, a efekt podwójnego naświetlenia tego samego materiału światłoczułego. W ten oto sposób zrodził się pomysł na „udzielenie pomocy” ludziom cierpiącym z powodu żałoby, a Mumler rozpoczął modę na „przywoływanie duchów na zdjęciach. Coraz więcej zakładów zaczęło praktykować metodę Mumler’a, zatrudniali aktorów lub na różne sposoby manipulowali światłem, aby nadać wiarygodności fotografom. Oczywiście Mumler spotkał się z falą krytyki, która zarzucała mu wzbogacanie się na ludzkiej tragedii, co w zasadzie było jak najbardziej trafnym zarzutem.



Mężczyzna z martwą małżonką, William Hope, Wikimedia.

Niektórzy autorzy uparcie jednak utrzymywali, że uchwycili na zdjęciu ducha. Jednym z takich fotografów był Kenneth F. Lord, który sfotografował ducha w Kościele Newby. Krążyła opinia, że na fotografii został uwieczniony szesnastowieczny mnich, dlatego nosi maskę chroniącą przed trądem. Co ciekawe, jest to jedna z niewielu fotografii spirytystycznych, która nie ma śladu po wielokrotnej ekspozycji, a sama postać rzekomego mnicha ma ponad 2,5 metra wysokości. Mistyfikacja, czy zupełne kłamstwo?

Po wejściu na rynek nowoczesnych metod obróbki zdjęć i rozpowszechnieniu się wiedzy na temat technik fotograficznych fotografia spirytystyczna straciła na popularności.



“Spectre of Newby Church” K. F. Lord, 1963, Wikimedia.

Filip Różański

Tygrysie demony, władcy duchów

Chiny będące trzecim największym krajem świata zamieszkiwane są przez wiele niesamowitych zwierząt. Na nieszczęście ich mieszkańców, są one też domem dla największego i najniebezpieczniejszego kota świata – tygrysa. Nie dziwi więc fakt, że w tamtejszym folklorze owiane są one wyjątkowo złą sławą. Z czasem na skutek ich okropnej reputacji, w dawnych wierzeniach chińskich zaczęły pojawiać się istoty nazywane “hu yao” (tygrysie demony). Tygrysie demony znane były z posiadania brutalnej siły i mocy kontrolowania żywiołów. Przedstawiano je jako hybrydy tygrysa i człowieka, ale ich wygląd różnił się w zależności od regionu, który zamieszkiwały. Z racji, że tygrysy znane są z polowań na ludzi, tygrysie demony także musiały zajmować się tym “fachem”. I były w tym nad wyraz dobre.

Sama wizja pożarcia, nie była jednak najgorszym co czekało nieszczęśnika, który pojawił się na ich drodze. Ludzie, którzy zginęli z ich rąk, mieli zamieniać się w duchy im służące. Powodowało to, że osoba zmarła nie mogła uczestniczyć w procesie reinkarnacji i zmuszona była do wykonywania zachcianek hu yao, aż do śmierci ich oprawcy.

Choć wydawać by się mogło, że zjawy te są jedynie ofarami całej tej sytuacji, często nie były niewiniątkami. Duchy te same miały namawiać tygrysa do dokonywania kolejnych mordów, nasycając jego apetyt na ludzkie mięso. Działo się to nawet wtedy, gdy sam demon nie miał już na to ochoty. Informację, które znalazłem na ich temat, nie podają jednak tego, co motywowało je do takiego działania. Możliwe, że była to chęć poszerzenia ich gromady, a może zwykła zawiść spowodowana tym, że przemiana w ducha zmieniła ich charakter. Wynioskować jednak można, że z powodu agresywnej natury demona i podżegania do złego przez jego sługi, tygrys mógł zebrać całą armię służących mu upiórów. A im więcej ich było, tym mniejsze były szanse na ludzkie przeżycie.

Źródła:

Joanna Grzybek, Ewa Paśnik-Tułowicka, Bestiariusz chiński, Wydawnictwo BoSz, Lesko 2025.

List of supernatural beings in Chinese folklore, https://en.wikipedia.org/wiki/List_of_supernatural_beings_in_Chinese_folklore, [dotęp:17.11.2025].



Paweł Sołtys



Nazywam się Paweł Sołtys jestem studentem II roku etnologii i antropologii kulturowej na Uniwersytecie Wrocławskim. Grafka jest kolażem cyfrowym, którego inspiracją jest karta tarota śmierć.

Yehor Shkurat



Zniszczone centrum handlowe na obrzeżu miasta. Na parkingu przed nim niegdyś odbywały się wieczorowe spotkania rolkowe. Zdjęcia zrobione z dachu 14-piętrowego blokowiska. Czernihów, 2022.



Widok z poszkodowanego blokowiska. Blisko 10 piętra. Czernihów. Wiosna 2022.



Przypadkowo napotkany pies na jednej z dróg poza miastem. Dookoła raczej pustka. Ludzi na ulicy nie widać. Zima 2019–2020. Czernihów.



Ulica na jednym z osiedli czernihowskich. Wiosna 2022.



Okres okołoswiąteczny w Gdańsku. W jednym z miejskich kościołów. Próbowałem uchwycić, jak prawie cały tłum ludzi patrzy do góry w jedno miejsce. Był to prawdopodobnie „żywy” zegarek z figurkami. Jednak takie zachowanie tłumu w kościele, uchwycone z odpowiedniej perspektywy, może wywoływać myśli o... czymś bardziej sakramentalnym. 2023 r.

Polećajki- „Kawa”

Większość z nas lubi i regularnie pije kawę. Czy zastanawialiśmy się jednak jak spożycie kawy wyglądało kiedyś i jak wygląda w innych kulturach? Bozidar Jezernik, antropolog i etnolog ze Słowenii, w swojej książce „Kawa” opowiada historię kawowca. Wyjaśnia skąd się wziął zwyczaj picia kawy i roli tej rośliny w różnych rejonach świata. Z racji wykształcenia dodaje konteksty społeczne i ciekawostki o procesie popularyzacji napoju w odmiennych zakątkach ziemi m.in. o tym, dlaczego spożywanie go mogło być dowodem zniewieściałości, a odmowa fliżanki kawy swojej wybrance mogła skończyć się rozwodem. Jest to ciekawa lektura, nie tylko dla miłośników naparu z ziaren *Coffea arabica*. W Polsce jego esej wydało wydawnictwo Czarne. – **Olga Fisz**
<https://lubimyczytac.pl/ksiazka/4951899/kawa>



O autorce okładki:

Nazywam się Maria Wróblewska, jestem absolwentką Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Wojciecha Gersona w Warszawie, od tego roku studiuje antropologię i etnologię w Toruniu. W wolnym czasie czytam, rysuję albo wyjeżdżam w kierunku gdziekolwiek, najchętniej w góry. W swojej twórczości skupiam się na tworzeniu magicznej narracji, łącząc ze sobą elementy ludzkie i zwierzęce. Po więcej moich prac zapraszam na instagrama: sigmanator2000.

